

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (53)

(fragmenty)



Znikające talerze – jak to w życiu

Z nocy z 15 na 16 lutego, gdy spałem w Krakowie – równocześnie biegałem po górach i górkach, przypominających mi to Bergdietikon koło Zurychu, gdzie bywałem wielokrotnie u córki, ni to Grzechynię koło Makowa Podhalańskiego, gdzie pracowałem jako belfer zaraz po studiach. Okolica malownicza, porostawiane stoły weselne albo restauracyjne na wolnym powietrzu, coś w rodzaju Kany Galilejskiej, bo można nabierać sobie, co kto chce, na talerze i nalewać do kieliszków, co też czynię, cały czas mając wrażenie, że jestem spóźnionym biesiadnikiem, bo wszyscy są już po obiedzie, a teraz delektują się rozmowami i deserami... Na domiar złego – gdy tylko napelniam swój talerz smakołykami, których nie brakuje na stołach i spuszcza na chwilę talerz z oka – talerz znika, więc muszę znowu iść po nowy i nabierać jedzenie, po czym wystarcza się odwrócić, żeby zniknął. Ta dziwna sytuacja powtarza się jeszcze parę razy, wreszcie wkurzony, że nie mogę się najeść do syta, postanawiam poszukać innych rewirów stonkowych. Niestety, szukając wolnego miejsca, gubię drogę do mojej Kany i błąkam się po tych dziwnych ścieżkach górskich, mając wrażenie, że przecież to gdzieś niedaleko... za krzaczkiem, za wzgórzkiem...

Obudziłem się z wrażeniem nienasyconego głodu.

Widocznie nie jestem tak zimnym i nieczułym skorupiakiem, za jakiego się niekiedy uważam (szczególnie, gdy natykam się na fałszywą egzaltację czy czułościwość), skoro wiem momenty, gdy z trudem powstrzymuję łzy pod powieką, a wzruszenie ściska mi gardło. A tak działo się przez godzinę, gdy słuchałem wierszy i fragmentów listów Emily Dickinson zawartych w monodramie krakowskiej aktorki Bożeny Adamek w Dworku Biało-

prądnickim.

Czy wzruszało mnie kruche, ulotne piękno tych wierszy mówionych przez równie kruchą i ulotną Bożenę, czy dziwny los tej amerykańskiej poetki, która raczej marzyła wierszami o życiu i miłości, niż żyła i kochała? Pewnie jedno i drugie. Żyła tylko w marzeniu, jakby nie mając odwagi na prawdziwe życie albo obawiając się, że każde spełnienie jej marzenia może je skalać. Może obawiała się dotknąć palcem swoich wymagowanych gwiazd, żeby nie zamieniły się w kamienie? Stać ją było tylko na słowa, a już nie na czyn, podobnie zresztą jak Europejczyka Franza Kafkę. Budowała z nich swoje zameczki na lodzie, siedząc całe życie pod słońcem i gwiazdami na ławeczce „Marzenie” – na skrzyżowaniu amerykańskiego miasteczka Amherst i Nieskończoności Kosmosu. Choć dawno już nie żyje, pozostawiła słowa, które w błysku metafory potrafią przenieść czytelnika do jej wciąż istniejącej, choć już tylko w słowach, rozświetlonej marzeniem duszy. Potrafią one w mgnieniu poetyckich obrazów-skojarzeń wskrzesić i przybliżyć tamto skryte wnętrze Emily w całej jego intensywności i feerii uczuć. Ma się dziwne poczucie obcowania z kimś niesłychanie bliskim, kto odsłania nam swój świat wewnętrzny. I choć ten świat już dawno nie istnieje, ale wciąż stwarza się na nowo w odbiorze czytelniczym na podobieństwo promieni odległej planety, które docierają do nas po wiekach, gdy planety tej już może nie ma.

Dwa marzenia, które się spełniły

Styczeń i luty mojej młodości zasypane były śniegiem, ginęły w mroźnej zadymce, nie to co teraz, gdy zdeorientowane krzewy wypuszczają w styczniu pąki, a spod ziemi wyskakują zdziwione żdźbła traw. Czterdzieści pięć lat temu w lutym brnąłem prawie na oślep, najczęstszą zaspany i zasapany, przez te poranne zadymki o 5 rano do pracy w kopalni – w zielonym górniczym płaszczu i w wyfasowanych buciorach, myśląc o jednym: ki diabeł mnie tu zesłał i dlaczego muszę wstawać tak wcześniej?! W głowie miałem tylko jedno marzenie: żeby uwolnić się od kopalni oraz zakopconych miast śląskich, i zdobyć kiedyś taki zawód, żeby nie był przymuszony do rannego wstawania.

Moje marzenie w stu procentach się spełniło. Po górnictwie, studiach i pracy w szkole przyszedł czas na tzw. – o ironio losu, bo był to przecież PRL – wolny zawód” czyli dziennikarstwo. Zajmowałem się wiele lat w tygodniku „Wieści” publicystyką kulturalną oraz pisaniem reportaży i mogłem się do woli – tak jak sobie to w młodości zamarzyłem – wysypiać, choć niekiedy trzeba było zarywać noce.

„Wolny zawód” sprzykrzył mi się jednak na starsze lata. W kolejnych redakcjach nie zajmowałem uprzywilejowanych stanowisk, lecz po dawnemu uganiałem się po terenie za tematami na reportaże bądź pisałem duże wysmakowane literacko teksty, za które placo-

no mi tyle, co kot napłakał. Wymyślanie coraz to nowych tematów – spędzało sen z powiek, zaś wrodzony perfekcjonizm, niepozwalający na pisanie szybkich, rewolwerowych i jedno-dniowych artykułów – doprowadzał do tego, że byłem mało wydajny. Tymczasem liczyła się już sensacyjność i ilość, a nie jakość i literackość tekstu. „Ty, kurwa, tylko piszesz o tym, co ciebie interesuje, a nie o tym, co nas jako redakcję interesuje!” – grzmiał na operatywkach redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej”.

Tak, to prawda, starałem się, jak mogłem, zawsze, bez względu na to, czy był komunizm, czy kapitalizm, czy pracowałem w tygodnikach czy w dziennikach, pisać tylko o tym, co mnie interesowało, a co wydawało mi się ponadczasowe i uniwersalne. To się do pewnego czasu mogło podobać, ale od pewnego czasu – nie. Marzyłem więc, żeby wreszcie uwolnić się od tego coraz bardziej wyrobniczego zawodu i poświęcić czas na to, co przystoi poecie, czyli na bujanie w obłokach.

To drugie marzenie też się spełniło i choć zapłaciłem za nie słoną cenę: nowotworem złośliwym oraz półroczną chemioterapią – niczego nie żałuję, tym bardziej że należę do tej grupki szczęśliwców, którzy raka pokonali. Zyskałem sześć lat wolnego i ekscytującego, bo niepewnego – ze względu na walkę z chorobą – czasu. Mam w dupie wszystkie szefów świata. Jestem sam sobie sterem, okrętem, żeglarzem. Mogę siedzieć przy komputerze pięć godzin, by wyrzeźbić... pięć linijek wiersza. Stać mnie na to!

Urzędnik życia i śmierć

Kiedy umiera artysta, zawsze wychylony przez okno ku sprawom ostatecznym, zawsze mający przeświadczenie, że jest na tej Ziemi tylko przechodniem – to jakoś mogę to sobie wytłumaczyć. Ot, dmuchnął wiatr metafizyki i nie ma liryka.

Ale gdy umiera człowiek żyjący realnością, pragmatyk do szpiku kości, pięćdziesięciolatek stojący obiema nogami na ziemi i wchłaniający zawsze, jak gąbka, porami duszy doraźną polityczną rzeczywistość, najwnikliwszy jej interpretator i to z dnia na dzień, bo dodajmy, że chodzi o wieloletniego redaktora naczelnego dziennika, z którym przyszło mi kawałek czasu pracować – to taka śmierć jakoś nie może się zmieścić w głowie.

Służbista, w nienagannie skrojonym garniturze, w krawaciku, wierzący w porządek, dyscyplinę; wypastowane buty, poprawność gramatyczną, logikę działania, pracowitość, perfekcjonizm, uosobienie pedanterii i szwajcarskiego zegarka. I nagle ni stąd, ni zowąd przychodzi anarchistka choroba (rak) i demoluje, rujnuje ten idealny organiczny mechanizm, rozbiera zegarek, który jeszcze jakiś czas udaje, że sprawa go nie dotyczy, próbuje ją zbagatelizować, pracuje dalej jakby nigdy nic na ważnym stanowisku życia.

cdn.